

Etiopia'2001 – garść wrażeń

W pobliżu Langano zatrzymaliśmy przepełniony, kursowy autobus jadący z Addis Abeby do Shashamene. Uprzejma, ładna amharska dziewczynka ustąpiła mi miejsce. Jako *ferendzi*, cudzoziemcy, zawsze budziliśmy zainteresowanie, toteż cierpliwie odpowiadałem po angielsku o tym skąd jestem i dokąd jadę. To ciekawe: czy to na północy czy na południu Etiopii, każdy biały człowiek musi kilkadziesiąt razy dziennie odpowiedzieć na to nieszczęsne pytanie: „*Where are you go ?*”

Moja narodowość szczególnie zaintrygowała solidnie wyglądającego pasażera, siedzącego przede mną. Podał mi rękę i przedstawił się: - Jestem Bechajlu Mengesha, ukończyłem piętnaście lat temu Moskiewski Instytut Teatralny.

Rozmawiając już po rosyjsku, dowiedziałem się, że mam do czynienia z głównym reżyserem i zarazem dyrektorem jednego z czterech teatrów w Addis Abebie. Po kilkunastu minutach rozmowy zostaliśmy zaproszeni na przygotowywaną premierę „Trzech sióstr” Czechowa. Ucieszyłem się szczerze, ale zarazem od razu zafrasowałem: wszak nie wziąłem ze sobą w podróż marynarki i krawata. Pan Bechajlu Mengesha z rozbijającą szczerością rozwiązał moje skrupuły: po prostu w Etiopii nie chodzi się do teatru w garniturze.

Bardzo chciałem zobaczyć przedstawienie w języku amharskim. Po miesiącu przyjechaliśmy do Addis Abeby, kilkakrotnie dzwoniłem do domu i do teatru, niestety pan reżyser był nieuchwytny.

* * *

Jeśli nie masz w Etiopii własnego samochodu, skazany jesteś na podróżowanie masywnymi publicznymi autobusami (w ostateczności pozostaje jeszcze autostop). Komunikacja autobusowa pozornie jest bardzo mało

skomplikowana. Wszystkie autobusy wyruszają ze wszystkich dworców autobusowych w całej Etiopii o szóstej rano. Należy jednak zająć miejsce w autobusie godzinę wcześniej. Ta godzina czekania, zanim wszyscy pasażerowie w wielkim rejwach zajmą swoje miejsca, jest mocnym przeżyciem. Po prostu wszystkie autobusy (a są to pojazdy z „czasów króla Ćwieczka”) mają włączone silniki i po pół godzinie plac dworca autobusowego zmienia się w komorę gazową. Tak jest od lat i miejscowym to jakoś nie przeszkadza. Nikt się na to nie żali.

* * *

Pod koniec podróży mieliśmy już mało czasu i wobec rachitycznej komunikacji autobusowej, zdecydowaliśmy się z Asią podróżować autostopem. Tuż za Gonder, starą stolicą etiopską, zatrzymaliśmy szybką Toyotę, jadącą do Weroty. Chcieliśmy jak najszybciej dojechać do Lalibeli. Łamanym amharskim uzgodniłem z pocziwie wyglądającym kierowcą korzystną stawkę za kurs. Niestety w przeważającej ilości przypadków autostop w Etiopii jest płatny. Podróż zapowiadała się ciekawie, jechaliśmy dobrze utrzymaną żwirową drogą, przez niezwykle malowniczy płaskowyż. Przed nami rysowało się dzikie pasmo górskie ze sterczącymi skalistymi turniami, zwanych tu ambami. Za górami spodziewaliśmy się zobaczyć rozległe Jezioro Tana.

Gdy wjechaliśmy w bezludny obszar, kierowca niespodziewanie zatrzymał samochód, wyciągnął błyskawicznie spod siedzenia Kałasznikowa, wyskoczył z samochodu i w mgnieniu oka załadował karabin na naszych oczach ostrą amunicją. Przez myśl tylko mi przeszło: - Zaszlachtuje nas od razu czy tylko będzie chciał nam zabrać bagaż i pieniądze ?

Tymczasem nasz kierowca wrzucił załadowaną broń ponownie pod siedzenie i ruszył dalej. Uprzejmie nam wytłumaczył, że wjeżdżamy w niebezpieczny rejon

i mając takich cennych pasażerów, stara się zapewnić nam bezpieczną jazdę. Poczuliśmy się wówczas naprawdę bardzo bezpiecznie.

* * *

W Arsi Negele zatrzymaliśmy na szosie pickupa. Moi towarzysze podróży wskoczyli na pakę, a mi przypadło zadanie zabawiania rozmową kierowcy i jego kolegi. Jechaliśmy przez sawannowy krajobraz, który przyrodnicy określają fachowo piętrem roślinnym o nazwie *kolla*. Rozłożyste akacje o parasolowatych postaciach ocieniały resztki wysuszonej trawy i ciernistych krzewów, wokół rzadkich wiosek rozciągały się żywopłoty z opuncji. Mimo wielkiego upału z ciekawością obserwowałem okrągłe, wiejskie chaty, pokryte słomianą strzechą, zwane *tukulami*.. Od czasu do czasu spotykaliśmy przy drodze stada bydła, pilnowane przez pasterzy z dzidami.

„Gdzie Rzym, gdzie Krym i gdzie Polska?” Jak w takiej scenerii mogę cokolwiek powiedzieć o Polsce. Toż to zupełna abstrakcja. Zaczynam coś tłumaczyć, że jesteśmy z północy, z Europy, coś jeszcze usiłowałem dopowiedzieć, gdy siedzący obok mnie Etiopczyk przerwał mi w pół zdania: - Tak, wiem gdzie jest Polska, byłem tam, ukończyłem studia podyplomowe z architektury u profesora Zaręby w Politechnice Szczecińskiej.

* * *

Zamieszkaliśmy z Asią w hamerskiej w wiosce Argudi w obejściu rodziny Kali Kana. Dobrze nam tam było, ptasiego mlekaomalże nie brakowało. Już pierwszego wieczoru zabito dla nas specjalnie kozła i zanim został opieczony solidnie na ognisku, na początku uczy, jako rarytas, podano nam gotowane jądra. Dbano o nas wyraźnie, częstowano bez przerwy buną, napojem z parzonych łusek kawy, wyciągano dla nas gotowany bób z garnka pełnego fasoli i kukurydzy,

przygotowywano różne mamałygi, wyrabiane z sorga, leśny miód był ciągle do naszej dyspozycji. Miód nam smakował wybornie, choć nie był odwirowany i odcedzony. Wymieszany był równo z plastrami, woskiem i pszczołami, które cała rodzina palcami pilnie wydobywała z garnka, chcąc uprzyjemnić nam degustację.

O plemieniu Hamer zamieszkującym busz na południu Etiopii, przy granicy kenijskiej, w dorzeczu rzeki Omo w pobliżu jezior Rudolfa i Stefanii, właściwie nic nie wiedzieliśmy. W 2001 r nie wspominała o nich Wielka Encyklopedia Powszechna, nie było ani słowa w epokowym dziele Andrzeja Bartnickiego i Joanny Manteł-Niećko „Historia Etiopii”. Hamerowie też nie istnieli w topornie napisanej książce Jana Weraksy „Etiopia”. W chyba najlepszym wówczas przewodniku o Etiopii, w „Lonely Planete” napisano kilka zdań o Hamerach: populacja ich liczy ponad trzydzieści tysięcy osób, są animistami, utrzymują swoją tradycję i kulturę od tysięcy lat, zajmują się tradycyjną hodowlą bydła i prymitywnym rolnictwem, zbieractwem. Zwracają uwagę swoją urodą i kolorowymi ozdobami. Żyją na terytorium Etiopii, choć z pewnością nie wszyscy z nich o tym wiedzą. Cesarz Etiopii Menelik II w 1897 roku wysłał ekspedycję do położonego na południu kraju Borena. Fitaurari (*tradycyjny tytuł wojskowy w Etiopii, przywódca awangardy*) Habte Gijorgisa na czele piętnastotysięcznej armii dotarł w lipcu do granic Kenii i zaanektował ziemie Hamerów dla Etiopii.

Plemiona żyjące na pograniczu Etiopii, Kenii i Sudanu najbardziej chyba spopularyzowała Leni Riefenstahl. Jej niezwykle zdjęcia, przedstawiające urodę i piękno ciała sudańskich plemion, zafascynowały ludzi na całym świecie. W 2001 r. był to wciąż odległy rejon świata, praktycznie niedostępny, jeszcze mało kto tam docierał i można było mieć nadzieję, że plemiona żyjące w biednej Etiopii jeszcze będą długo żyły rytmem wytyczonym przez tysiące lat. Co prawda etiopscy Amharowie sprawują tam administrację, instalują ujęcia wody, budują na obrzeżu wsi szkoły, starają się sprawować inspekcję weterynaryjną.

Kalę, dorodnego młodego Hamera poznaliśmy w wiosce Dimeka. Poprzez lokalnego przewodnika, Tilahuma, zaproponował nam gościnę w swojej rodzinie. Objuczeni plecakami wypełnionymi po połowie prezentami i wodą mineralną dotarliśmy po długim marszu przez gęsty, busz przeplatany wielkimi sykomorami, do chaty Kali w wiosce Argudi. W jednej, niskiej, ażurowej, krytej strzechą chacie mieszkała cała rodzina: Imbu – tata, Indu – mama, bracia Kula, Sago, Kala, Gabri, Aule oraz siostry Duba, Durunda, Muda, jednoroczna Bulla i jeszcze dwie dziewczyny, których powinowactwa z rodzin Kali nie zdołaliśmy tak do końca ustalić. Mieliśmy szczęście, dotarliśmy do bardzo dorodnej rodziny, która wyróżniała się wśród sąsiadów taktem i kulturą osobistą.

Największą przyjemność całej rodzinie niewątpliwie zrobiła Asia, która zabrała ze sobą z Polski prawie pół plecaka koralików, różnych świecidełek, mydeł i błyskotek. Indu – mamie podarowała naszyjnik, prezent od własnej teściowej. Radości było co niemiara. Asia, malarka, bez problemu dopasowywała koraliki do kolorów naszyjników poszczególnych członków rodziny, którzy odczochoczo nanizywali poszczególne koraliki na żyłki wędkarskie, z dużym wyczuciem łącząc kolory, nie mogąc się nacieszyć z nadmiaru szczęścia.

Prezent ode mnie, prymus do gotowania na benzynę, nie zrobił już takiego wrażenia. Sądzę, że udało mi się wyszkolić chłopaków w obsłudze maszyny do gotowania, ale niewątpliwie stanie się ona tylko obiektem demonstracji bogactwa w chacie. Benzyna jest tam bardzo droga, a poza tym gotują wyłącznie kobiety i one zawsze będą gotowały na ognisku w chacie. Większą radość niewątpliwie sprawiły menażka i podkoszulki, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że europejską odzież niszczy ich kulturę. Hamerowie chodzą po prostu półnaczy, nosząc jedynie przepaski z koziej skóry lub dzikich zwierząt.

Chyba rodzina Kali polubiła nas. Drugiego dnia, gdy minął już skwar południa, Kula wziął z chaty kałasznikowa (był to jedyny współczesny „sprzęt” w chacie)

i poszliśmy wraz Asią, Kalą i jeszcze jedną grubą Hamerką (która chyba była narzeczoną Kuli) sadzić sorgo na pole położone w pobliżu wioski. Kałasznikow był niezbędny - niedawno Hamerowie ukradli trzysta sztuk bydła sąsiedniemu plemieniu Karo, zabijając przy tym kilku ludzi. Poza tym dzikie bawoły były tam realnym niebezpieczeństwem.

Dużo się nie napracowaliśmy, po półtoragodzinnej pracy (też się włączyliśmy), polegającej na wzruszaniu ostrym patykiem ziemi i wsypywaniu nasion do dziurek w laterytowej glebie, ogłoszono koniec pracy. Zresztą i tak słońce chyliło się nad horyzontem, pozostało nam tylko spędzenie w potwornym kurzu bydła do poletka koło chaty, otoczonego ciernistym żywopłotem.

Następnego dnia, gdy był największy upał, w cieniu akacjowca przed chatą, pokazywałem całej rodzinie swoje zdjęcia z Polski i różnych wypraw. Dołączyłem do tego ładnie ilustrowany kolorowy informatorek o Gdańsku. Zdjęcia z zimowego spływu kajakowego nie robiły na Hamerach żadnego wrażenia, była to po prostu abstrakcją, której nie byłem w stanie wytłumaczyć. Natomiast wszystkie zdjęcia gdańskiej Starówki, na których nie było ludzi, były oglądane do góry nogami. Po jakimś czasie dopiero zajarzyłem: oni po prostu w życiu nigdy nie widzieli domów i położenie kamieniczek do dołu kominami zupełnie im nie przeszkadzało w oglądaniu.

* * *

Gdy zasiadaliśmy w szałasach Hamerów do posiłku, zawsze siedzący na podwyższeniu imbu – tata, poprzedzał rozpoczęcie pożywienia modlitwą. Hamerowie są animistami, toteż kierowane na wszystkie strony świata ukłony i modlitwy z pewnością były kierowane do wszystkich bóstw lasu, pól, zagajników, do władców słońca, deszczu i wiatru. Modlitwy były przerywane popijaniem buni,

którą co chwilę imbu rozpryskiwał ustami po całym szałasie, nie oszczędzając przy tym gości i domowników.

We wszystkich religiach świata, z którymi zetknąłem się w czasie podróży, czy to w chrześcijaństwie, islamie, buddyzmie czy też w hinduizmie, czas modlitwy jest czasem skupienia i uwagi. Tutaj było jednak inaczej. Imbu – tata modlił się żarliwie, my przyglądaliśmy się ze skupieniem, a synowie w tym czasie prowadzili swobodną dyskusję dowcipkując i przekomarzając się. Indu - mama zdążyła w tym czasie rozdać posiłki. Widać role w tym społeczeństwie są podzielone, Imbu modli się za wszystkich, załatwia tę sprawę również za nich. Czas modlitwy dla nich nadzieje, gdy zostaną głowami rodziny.

Mieliśmy kłopoty z ustaleniem ich wieku. Oni nie znali pojęcia lat. Nawet młode małżeństwa nie były w stanie określić, ile lat są już razem. Nie rozumieli tego pytania. Pojęcie dłuższego horyzontu czasu niż kilka dni było dla nich abstrakcją.

Mieszkając z nimi, docierało do mnie, że ci ludzie z pewnością są o wiele szczęśliwsi od nas. Od wielu pokoleń żyją swoim, ustawionym przez naturę, rytmem. Gotują na ogniu, garnki mają gliniane, naczynia z tykwy, ubrania ze skóry dzikich zwierząt i z kóz. Orzą pole drewnianą sochą, ciągniętą przez woły. Żywią się tym co zbiorą, tym na co zapolują lub ewentualnie zdobędą na wrogach. Od wieków uwikłani byli w walki plemienne, toteż jedynym współczesnym sprzętem w szałasie jest karabin.

Nieznany im jest współczesny wyścig szczurów: konsumpcyjna pogoń za nowym modelem samochodu, lepszą działką w mieście, nowoczesnym zestawem mebli czy chociażby trzydziestocalowym telewizorem. Oni nawet nie znali świeczki (nauczyliśmy ich robić świeczki z wosku wydobytego z leśnych barci), nie mówiąc o elektryczności.

Oczywiście żyją krótko, choroby tropikalne ich nie omijają. Leczą się swoimi ziołami, rany zasklepiają błotem, współczesna medycyna praktycznie do nich nie dociera. Ale na pewno nie mają wrzodów na żołądku z powodu stresów i wiecznego pośpiechu.

* * *

W hoteliku w Jince słuchaliśmy z zapartym tchem barwnych opowieści chłopaków z tureckiej telewizji. Chłopcy byli nietuzinkowi, szczególnie jeden z nich, Okan Unsur zrobił na nas niesamowite wrażenie. Dziennikarz, wojenny reporter, fotograf, pracujący dla największych redakcji na świecie, miał sporo do opowiadania. Wysyłany na pierwsze linie frontu, pracował w czasie działań wojennych w Libanie, w Afganistanie, w Kosowie, w oblężonym Sarajewie, w Zatoce Perskiej, w Nikaragui. Gdy się na świecie coś dzieje, tam zawsze pojawia się Okan. Był pod wieżą telewizyjną w Wilnie, w Moskwie w czasie przewrotu, w Rwandzie podczas walk plemiennych, w Indonezji w okresie wielkich zamieszek, w Rumuni podczas upadku Causescu, przy upadku muru berlińskiego. W Afganistanie ciężarówka, którą jechał, wyleciała w powietrze na minie. Okan stracił tam wszystkie zęby, przez trzy dni był nieprzytomny, wyratowali go mudżahedini. Polskę wspominał bardzo ciepło. Swoją pracę dziennikarską rozpoczął od relacji ze strajku w Stoczni Gdańskiej w pamiętnym sierpniu osiemdziesiątego roku. Również ciepłe słowa mówił o swoich dziewczynach z Polski.

Gdy się spytałem Okana, jakie kraje zwiedził na świecie, przyznał się, że jeszcze nie był w Islandii, Północnej Korei, Zambii, Gambii i Gabonie. Szczególnie ciekawe i wartościowe były spostrzeżenia Okana dotyczące cech, charakteryzujących różne narody. Chciałbym zaprosić Okana do Gdańska

i zorganizować wystawę jego fotografii. Z tego co mi pokazywał, może się okazać, że wystawa „World Press Photo” może się nie umywać do zdjęć Okana.

Okan i jego kamerzysta Coskun Aral realizowali w Etiopii film o plemionach nad rzeką Omo dla tureckiej i niemieckiej telewizji. Szczególnie żywo wspominali niedawną wizytę w wiosce dzikiego plemienia Mursi.

- Nawet nam nie uwierzycie, ale normalnie się tam baliśmy. Pachniało grozą. Mężczyźni uzbrojeni w karabiny otoczyli nas od razu i szturchali, kobiety z wielkimi talerzami w wargach szczypały nas i ciągnęły na różne strony. Strażnik Parku, który był z bronią i miał nas bronić, zwinął się w kłębek i przestraszony w ogóle nie istniał. Musieliśmy się okupić dużą sumą pieniędzy, by zrobić jakiegokolwiek zdjęcie. Z ulgą stamtąd wyjechaliśmy.

Ta opowieść dodatkowo nas przygnębiła. Tego dnia bowiem my też usiłowaliśmy dotrzeć do plemienia Mursi. Wyjechaliśmy w wyśmienitych humorach z Jinki wczesnym rankiem terenową Toyotą. Niestety, po kilkugodzinnym intensywnym, nocnym opadzie deszczu, górską drogą pokrytą była kilkunastocentymetrową warstwą błotnistej, laterytowej mazi. Samochód kilkakrotnie grzązł w błocie, ślizgał się na drodze i niebezpiecznie zsuwał ze stromej jezdni. Jazda w takich warunkach groziła w wywrotką samochodu. Dodatkowo irytował nas kierowca wozu. Wymogliśmy na nim wymianę zużytych opon. Podczas gdy my, klienci, płacący duże pieniądze za wynajem samochodu, pomagaliśmy w ulewnym deszczu pomocnikowi kierowcy w wymianie kół, kierowca nie przyłożył do tego ręki i dbał tylko o to, by nie upaść sobie butów w błocie.

Nie dojechaliśmy do plemienia Mursi. Zaraz po wymianie opon, kierowca na stromym, pełnym wybojów podejździe, bardzo szybko poprowadził samochód. Asia Fidos, podczas silnego wstrząsu samochodu, została podrzucona w górę

i uderzyła mocno głową w stalową belkę. Usłyszałem krzyk i zobaczyłem leżącą na zabłoconych plecakach Asię. Całą głowę miała zalaną krwią.

Na szczęście była przytomna, Gosia sprawnie opatrzyła jej dużą ranę na głowie (przydały się duże ilości wody utlenionej w apteczce, bo całe włosy były upaprane w błotnistej mazi). Wróciliśmy natychmiast do szpitala w Jince. Nasz znajomy z poprzedniego dnia, angielski chirurg, założył Asi w szpitalu pięć szwów.

Humory mieliśmy podłe, choć po cichu uważałem, że wypadek Asi mógł być tylko znakiem od Opatrzności: dalsza jazda w tych warunkach mogła się skończyć dla nas tragicznie.

Pozostał też niesmak targowania się z przewodnikiem i kierowcą o zapłatę za niewykorzystany dzień.

Na szczęście następnego dnia Asia czuła się w miarę dobrze, pogoda się poprawiła, drogi trochę wyschły i postanowiliśmy ponowić próbę dotarcia do plemienia Mursi. Wyruszyliśmy bardzo późno, bo wieść o wypadku rozeszła się w okolicy i musieliśmy wypełnić mnóstwo biurokratycznych formalności. Urząd turystyczny dołożył nam dodatkowego przewodnika, który nic nie robił, ale i tak musieliśmy mu zapłacić. Nowy kierowca (poprzedniego nie chcieliśmy), obawiając się trudności na drodze, wziął trzech pomocników. Przy wjeździe do Parku Narodowego Mago kazano nam zabrać obowiązkowego strażnika z karabinem. Z całą tą ludzką gromadą, stłoczeni na pace Toyoty, pieliśmy się mozolnie po stromej, przepaścistej drodze.

Po kilku godzinach, omijając szczęśliwie wielkie burzowe chmury, dotarliśmy pełni obaw do wioski plemienia Mursi. Wioska zrobiła na nas fatalne wrażenie: wśród byle jak splecionych chat stały tandetne blaszane budy, postawione przez lokalne władze z Jinki.

Zostaliśmy przyjemnie zaskoczeni. Naprzeciwko nas wyszedł z kałasznikowem wysoki, dobrze zbudowany wódz wioski, który powitał nas uśmiechem.

Negocjacje, tłumaczone przez przewodnika, trwały bardzo krótko. Za kilka paczek żyłek i drobną sumę pieniędzy wódz wyraził zgodę na fotografowanie jego ludzi. Wynegocjowaliśmy cenę jednego byra (50 groszy) za zdjęcie.

Nikt nas w wiosce nie szturchał ani nie popychał. Kobiety same dopominały się o zdjęcia. Wyglądały niesamowicie. Upačkane kolorową glinką, z wielkimi glinianymi krążkami w wargach i w uszach, z fryzurą w postaci niezliczonych ilości metalowych rurek i drewnianych, kolorowych patyków; końcówki bawolich rogów dodatkowo wystawały z włosów.

Plemię Mursi jest nieliczne. Według „Lonely Planet” jest ich około pięć tysięcy. Tradycja rozcinania warg i wkładania w nie wielkich glinianych talerzy wywodzi się ponoć z nie tak bardzo odległych czasów handlu niewolnikami. Otóż kobiety Mursi specjalnie oszpecały się, by nie być porwanym przez łowców niewolników i przez sąsiednie plemiona. Rzeczywiście, po ściągnięciu talerzy z warg wyglądały nieestetycznie. No cóż, ale tradycja zobowiązuje. Teraz się to opłaca: można zarobić na turystach.

Zrobiliśmy dużo zdjęć. Sporo czasu zajmowało nam ustawianie ludzi względem światła, które było bardzo kiepskie. Fatalnie fotografuje się przy mocnym słońcu, stojącym w zenicie. Ale jakoś sobie radziliśmy. **Asia Chrobak** pracowała w wielkim pośpiechu. Jako profesjonalistka wzięła ze sobą przeźrocza, negatywy kolorowe i czarno-białe, robiła zdjęcia Nikkonem i Pentaconem. Walczyła z obiektywami, często zmieniała filmy (szerokoobrazkowa klisza ma dwanaście klatek, wymiana filmu jest czasochłonna), wybierała co ciekawsze facjaty, cała pochłonięta magią fotografowania tak niecodziennych ludzi. Najbardziej biedny był Jarek, któremu pechowo właśnie wyczerpała się bateria w aparacie. Cóż, na taką podróż trzeba zabierać manualne aparaty fotograficzne.

Opuszczaliśmy wioskę w wyśmienitych humorach. Jakże inną mieliśmy przygodę w porównaniu z opowieściami Turków i innych turystów.

W drodze powrotnej do Jinki przyszedł mi do głowy świetny pomysł. A może by opłacało się sprowadzić do Polski dziewczynę Mursi, która by w pizzerii roznosiła klientom pizzę na swoim wielkim talerzu na wardze. Że też nikt na to jeszcze nie wpadł...

* * *

W Turmi, na południu Etiopii, zaprzyjaźniliśmy się z bardzo sympatycznymi kartografami z Addis Abeby. Kartografowie prowadzili pomiary już od dwóch miesięcy w tym rejonie, przygotowując dane do opracowania map w podziałce 1:50.000. Zamieszkiwali w solidnych namiotach, mając do dyspozycji dobre samochody terenowe, radiostacje, urządzenia do pomiarów satelitarnych. Zawsze witali nas bardzo serdecznie, na stole natychmiast pojawiały się doskonała kawa i świeży chleb wypiekany przez ich kucharza.

Podczas naszego pobytu prowadzili swoje prace w okolicach Jeziora Rudolfa i któregoś pięknego dnia wybraliśmy się z nimi wczesnym rankiem do Omorate nad rzeką Omo. Z Turmi droga wiodła przez zanikający stopniowo busz. Po dwóch godzinach jazdy wjechaliśmy w prawdziwą pustynię. Osada wyglądała jak miasto widmo. Mogły by się tam rozgrywać „Gwiezdne wojny”. Tuż przed osadą porzucane były olbrzymie ilości porzuconych maszyn drogowych i budowlanych jakiejś nieznannej produkcji i z zupełnie odległej epoki. Jeszcze niedawno kilkuset specjalistów z Północnej Korei, w ramach bratniej pomocy, z wielkim zaangażowaniem sił i środków usiłowało zbudować na tym odludziu kwitnący ośrodek rolniczy. „Ośrodek rolniczy” w rzeczywistości miał być chyba przyczółkiem do inwazji na Kenię, ale zmieniła się władza i Koreańscy uciekli w popłochu.

Wszystkie chaty w osadzie przylegały do siebie. Zbudowane były z gęsto plecionych patyków, dachy były kryte strzechą. Kilka szerokich, piaszczystych ulic przecinało wielką wioskę.

Omorate było rajem do fotografowania. Tamtejsi mieszkańcy z pasterskiego plemienia Geleb wyróżniali się piękną budową ciała, różnorodną karnacją oraz ciekawymi twarzami. Prawie każda osoba spotkana na ulicy zasługiwała na zrobienie portretu. W dodatku mieszkańcy nie byli jeszcze zmanierowani przez turystów i z fotografowaniem nie było specjalnych problemów.

Po pierwszej godzinie zachłannego fotografowania ochłonęliśmy trochę z amoku i wydostaliśmy się z tłumu gapiów, dla których nasza walka z aparatami była nie lada atrakcją. Znaleźliśmy spokojne miejsce w wiosce nad brzegiem rzeki Omo, gdzie obserwowaliśmy ludzi, przepływających przez rzekę na łodziach, wyciosanych z jednego pnia. I tutaj stało się nieszczęście.

Asia zmieniała obiektyw w aparacie i niespodziewanie obiektyw „Nikkor” wyskoczył jej z rąk i stoczył się do rzeki po stromym, wysokim zboczu. Staliśmy jak zahipnotyzowani, patrząc jak obiektyw po kilku odbiciach wpada do mulistej wody.

Na znalezienie obiektywu praktycznie nie było szans. Brzeg był stromy, raczej powinno być głęboko, widoczności w wodzie nie ma żadnej, a w dodatku jest to woda z wrednymi larwami – cercariami, przechodzącymi nawet przez nieuszkodzony naskórek, powodującymi ciężką chorobę pasożytniczą – bilharczoję. Mimo wszystko miałem dylemat: skoczyć do wody czy odpuścić sobie?

Nie dane mi było zastanawiać się długo. Zwinna, chyba trzynastoletnia amharska dziewczynka natychmiast zbiegła po zboczu i po kilku sekundach, ku naszemu zaskoczeniu, wydobyła z wody obiektyw. Z uśmiechem podbiegła do nas i gdy już miała wręczyć go Asi, jak spod ziemi pojawiło się grube babsko, wyrwało dziewczynce obiektyw i krzyknęło: - Sto byrów !!!

Sto byrów to nasze pięćdziesiąt złotych, ale też za sto byrów można tam przeżyć kilka miesięcy, toteż kwota wydała mi się wygórowana i niesprawiedliwa. A poza tym dlaczego ona się w to wtrąca

Chwyciłem wielką babę mocno za rękę i powiedziałem krótko: - Idziemy na policję !

Kobieta się bardzo przestraszyła, trochę zaprotestowała i oddała obiektyw. Zapłaciliśmy dziewczynce kilka byrów, które przyjęła z wdzięcznością i wycofaliśmy się znad rzeki.

Gdy już ochłonęliśmy z wrażeń, postanowiliśmy jednak bardziej wynagrodzić dziewczynkę i wróciliśmy na miejsce zdarzenia. Emocje opadły. Gruba baba, która okazała się mamą dziewczynki, serdecznie zaprosiła nas na kawę. Wypiliśmy kawę, daliśmy dziewczynce słodycze, koraliki i jeszcze dziesięć byrów. Dziewczynka i mama nie posiadały się ze szczęścia. Wyszliśmy stamtąd jak z domu najlepszych przyjaciół.

A obiektyw? Niestety do środka między soczewki dostało się trochę błotnistej wody i mimo suszenia go na wszelkie sposoby nie nadawał się do użytku.

Poprawiłem Asi humor, mówiąc, że w Gdańsku poproszę mojego serdecznego druha **Marka Mazura**, człowieka o złotych rękach, który nawet aparaty fotograficzne robi w pierścionku, o naprawę obiektywu.

Po powrocie do Gdańska bardzo szybko wywołałem diapozytywy i zaprosiłem Marka z małżonką na opowieści z podróży, połączone z pokazem przeźroczy. Gdy zacząłem opowiadać o szczegółach przygody nad rzeką Omo, zauważyłem lekkie zaniepokojenie Marka. W końcu Marek się przyznał: - No dobrze, ale jak ja będę naprawiał obiektyw, czyścił soczewki i części przysłony, czy aby nie zachoruję na bilharcjozę?

Moje wyjaśnienie, że odpowiednia dawka spirytusu zabije wszelkie pasożyty, uspokoiły chyba trochę Marka.

Ale też pomyślałem sobie od razu, że Asia będzie musiała się nastawić na dodatkowe koszty, związane ze spirytusową kuracją jej obiektywu.

* * *

W Omorate zaprosiliśmy kartografów na obiad. Chcieliśmy w ten sposób podziękować za ich przyjacielską pomoc. W tej osadzie lokalnym przysmakiem była *indżera* z rybami. Wiele potraw w życiu jadłem, ale tak dobrze podanej i przyprawionej ryby, jaką nam podano w przytulnej, zacienionej knajpcie, nie kosztowałem. Dwukrotnie zamówiliśmy dokładkę. Ryby tam są śmiesznie tanie. Wielką, piętnastokilogramową rybę, oferowano nam za jednego byra.

Gdy najedzeni, popijając wyśmienitą kawę, delectowaliśmy się rozmową i miłym dniem, do rozmowy przyłączyli się lokalni nauczyciele i miejscowy technik. Od razu zrobiłem wielką przyjemność nauczycielowi historii, wręczając mu kartki z widokami Gdańska i Westerplatte. Wiedział doskonale, że tam właśnie rozpoczęła się Druga Wojna Światowa. Natomiast miejscowy, niezwykle sympatyczny młody technik, **Getaneh Mellese**, okazał się miłośnikiem muzyki i malarstwa. Wręcz się wzruszył, gdy otrzymał ode mnie pocztówkę z wizerunkiem pomnika Chopina w Parku Łazienkowskim. Getaneh zaprosił nas do swojej maleńkiej klitki, w której mieszkał i pokazał zbiór swoich prac malarskich. Z największą jednak dumą wyciągnął dwa mocno sfatygowane kolorowe albumy, które otrzymał od jakiejś belgijskiej turystki.

Książkę z reprodukcjami obrazów van Gogha odłożyliśmy od razu na bok, natomiast z wielkim zainteresowaniem obejrzeliliśmy dokładnie album o Jeziorze Rudolfa (Turkana) i mieszkających wokół niego ludziach. Nie dość że album był doskonale opracowany, to dodatkową frajdą było porównanie zamieszczonych tam ilustracji, do zrobionych przez nas zdjęć (które jeszcze nie były wywołane, ale mieliśmy je na żywo w pamięci). Wszak album mówił o rejonie, w którym byliśmy.

Różnorodność świetnych zdjęć w albumie, którego autorzy działali na o wiele większym obszarze, niż trasa naszej podróży, podziałała bardzo na naszą wyobraźnię. Każde z nas wpadło niezależnie od siebie na pomysł, by wrócić tutaj jeszcze raz: Asia z zamiarem zrobienia jeszcze lepszego albumu o plemionach znad Jeziora Rudolfa, ja z koncepcją realizacji filmu o tych ludziach.

Pełni emocji przy oglądaniu albumu, zapomnieliśmy o kartografach, którzy zbierali się do powrotu. Trzeba było wracać. Pożegnaliśmy się serdecznie z Getanehem, który zupełnie nie rozumiał, dlaczego nie obejrzelśmy jego największej dumy - albumu poświęconego van Goghowi.

* * *

W Arba Minch, wojewódzkim mieście na południu Etiopii, z urzędu telekomunikacyjnego usiłujemy dodzwonić się do Polski. Pani w okienku jest nieubłagana: takiego kraju jak Polska nie ma i połączenia nie będzie. Jest Holland, ale nie Poland. Dziewczyny są załamane, naraz ktoś z nas sobie przypomina, że dzwoniliśmy poprzednio do Polski z Addis Abeby i zdesperowani pokazujemy pani w okienku jako ostateczny argument rachunek za połączenie. To podziałało. Pani łaskawie zadzwoniła do Addis Abeby i po kilku minutach mogliśmy porozmawiać z krajem. Wyszliśmy lekko zbulwersowani, ale natychmiast mi się przypomniało, że w Polsce jest niewiele lepiej. Nie tak dawno usiłowałem kilkakrotnie z Gdańska dodzwonić się do Nepalu. Naszym paniom w telekomunikacji też długo musiałem wówczas tłumaczyć gdzie jest Nepal, nigdy o takim kraju nie słyszały.

* * *

W samym centrum miasta w Shashamene, gdy autobus zatrzymał się na chwilę na skrzyżowaniu, tuż przed dworcem autobusowym, do wnętrza wskoczył piętnastoletni, miły Amharczyk, płynnie posługujący się angielskim. Mikebeb Mimgua był sprytny, energiczny i szybko zyskał naszą sympatię. Wzięliśmy go jako przewodnika do Awasy. Sam poprosił, byśmy po prostu mówili do niego Maks. Gdy tylko Maks dowiedział się, że jesteśmy z Polski, entuzjastycznie krzyknął: Kwaśniewski.

Zdziwiło mnie to niepomierne. Większość edukowanych Etiopczyków kojarzyła Polskę przede wszystkim z Lechem Wałęsą.

Sprawa szybko się wyjaśniła. Otóż Maks niedawno spotkał podróżnika z Polski, Pawła Kwaśniewskiego, z którym przez kilka dni razem podróżował.

* * *

Czekaliśmy już trzeci dzień w Turmi na jakikolwiek samochód jadący w rejon plemienia Karo. Turmi, półpustynna osada, zamieszkała przez Hamerów, jest chyba najbardziej zapyziałą wioską na świecie. Ruchu dużego tam nie ma, codziennie pojawiają się dwa albo trzy samochody, trąby powietrzne, spacerujące po szerokich piaszczystych drogach, regularnie wnoszą ze sobą tumany piasku, mężczyźni przez całe dni siedzą w cieniu wielkiej sykomory na swoich krzeselkach – borkutach. Jedyną wielką atrakcją Turmi jest wielki, kolorowy poniedziałkowy rynek.

Bardzo chcieliśmy dotrzeć do plemienia Karo. Imaliśmy się różnych sposobów. Usiłowaliśmy przekonać życzliwych kartografów z Addis Abeby, pracujących w tym rejonie, ale oni zastaniali się przepisami rządowymi. Negocjowaliśmy z miejscowymi kierowcami, ale ci stawiali zaporowe ceny. W końcu pojawiła się nadzieja: do Turmi przyjechała ekipa urzędników państwowych, wojskowych i policjantów, jadących do Karo, w celu przeprowadzenia negocjacji po ostatnich

walkach plemiennych. Uff, pełen sukces, mają wyruszyć wczesnym rankiem, zgodzili się nas zabrać. Oczywiście też nie za darmo, ale byliśmy zdeterminowani. Niespodziewanie późnym, ciemnym wieczorem, dowiedzieliśmy się, że właśnie ruszają i mamy się ładować na pakę. I tu po raz pierwszy zrejterowaliśmy na tej wyprawie: wszyscy członkowie ekspedycji albo byli pijani (łącznie z kierowcą) albo naćpani i po prostu baliśmy się z nimi pojechać.

Następnego dnia od rana stałem na skrzyżowaniu dróg w wiosce przed posterunkiem policji, znów czekałem na okazję samochodową. Moją uwagę zwróciła krzątająca hamerskich kobiet. Około pięćdziesiąt półnagich młodych dziewczyn z zapalem stawiało ściany policyjnego, długiego baraku. Konstrukcję baraku stanowiły eukaliptusowe drągi, przestrzeń między nimi dziewczyny pracowicie wypełniały zaprawą w postaci gliny, wymieszanej z krowim łajnem.

Wiedziałem doskonale, że Etiopczycy są szczególnie uczuleni w sprawach tajemnic wojskowych, jaką była niewątpliwie ta ważna policyjna budowa, toteż aparat fotograficzny schowałem w plecaku i nieśmiało wszedłem na teren policyjnego posterunku. Od razu kilku policjantów jednoznacznie pokazało mi, że mam się natychmiast wynosić. I wówczas przyszedł mi ryzykowny pomysł do głowy. Powiedziałem, że mam pozwolenie na fotografowanie w strefie przygranicznej i pokazałem starą pakistańską wizę w paszporcie. Sprawdzili dokładnie. W chwilę potem fotografowałem do woli.

* * *

Wyjeżdżaliśmy rankiem z Lalibeli, z miejscowości słynnej z wielkich świątyń wykutych w skale. Jeszcze był mrok, siedziałem przed zamkniętą knajpką i obserwowałem plecaki umieszczone na dachu autobusu. Na dachu kręciła się obsługa autobusu i tradycyjnie, dopóki nie ułożyli wszystkich ładunków na dachu i nie przykryli ich plandeką, nie spuszczałem z nich oczu.

Młody, chyba dwunastoletni chłopak, gdy się dowiedział, że jestem z Polski, entuzjastycznie krzyknął: - Ojej, ja znam Anę, fotograficzkę z Polski! Ana była tutaj rok temu, byłem jej przewodnikiem.

Świat jest bardzo mały. Pochwaliłem się też, że i ja znam dobrze słynną podróżniczkę i dziennikarkę **Anię Olej**, bo o niej to była niewątpliwie mowa i przekażę jej pozdrowienia. Malec gorliwie zaczął pisać na skrawku papieru swoje dane, a ja tymczasem sięgnąłem do plecaka, w którym miałem plik informacji o Etiopii od Ani Olej.

Imiona nie zgadzały się, malec nazywał się Megesti Gitahom, natomiast przewodnikiem według danych Ani był Fkrr Gitahom. Gdy powiedziałem o tym, Megesti trochę się zmieszał, ale zaraz potem wyznał szczerze: - No tak, to właściwie mój brat był przewodnikiem Ani, ale ja prałem jej rzeczy, kiedy on oprowadzał Anię po świątyniach. Proszę, pozdrów Anię ode mnie.

Zapewniłem go, że jak tylko Ania wróci z Birmy, natychmiast ją pozdrowię.

* * *

Wielu ludzi przed wyjazdem do Etiopii straszyło nas wówczas wojną i różnymi zamieszkami. Wojny nie zastaliśmy, ostatnia z Erytreą skończyła się rok temu. Jedynie widzieliśmy na północy Etiopii na poboczach dróg rozwalone czołgi i wozy bojowe piechoty, pozostałość po walkach z 1989 roku, kiedy to przegoniono komunistyczną władzę. My większość czasu spędziliśmy przy granicy z Kenią, z państwem, z którym Etiopia ma najlepsze stosunki.

Etiopia przez większość ludzi kojarzona jest z wielką biedą i głodującymi dziećmi. Niewątpliwie jest to bardzo biedny kraj, który z trudem, przy dużej pomocy zagranicznej, jakoś sobie radzi. Umierających z głodu ludzi nie widzieliśmy,

choć niewątpliwie większość ludzi jest niedożywiona. Z żebraniem, wyciąganiem rąk spotykaliśmy się na każdym kroku.

Głównym ziemiopłodem w Etiopii jest tef (miłek abisyński – *Eragrostis abyssinica*), stanowi on podstawę wyżywienia ludności i spożywany jest w postaci placków o nazwie *indžera*. *Indžera* jest narodową potrawą, podaje się ją z ostrym sosem, z dodatkiem gotowanych i surowych warzyw, czasami nawet z gotowaną rybą.

Indžera jest wszechobecna i oczywiście spożywa się ją rękoma. Kilka razy zaprosiliśmy dzieci hamerskie na *indžerę*. Uszy im się trzęsły, kolejne półmiski znikwały błyskawicznie. Najedzone dzieci tryskały energią i popisywały się długimi skokami na piaszczystym progu wyschniętej rzeki. Cóż, nasze możliwości pomocy były bardzo ograniczone, ale przynajmniej sprawiliśmy niektórym dzieciom dużo radości.

* * *

W drodze do Lalibeli , na skrzyżowaniu dróg w Gashena, przysiadł się do nas osiemnastoletni chłopak. Po kilku minutach rozmowy, podczas których wypytał nas o wiek, narodowość, cel podróży, przebyte trasy w Etiopii, a my dowiedzieliśmy się, iż jest uczniem w średniej szkole, chłopak od razu przeszedł do meritum sprawy:

- Dajcie pieniądze, ja potrzebuję je na książki, zeszyty, długopisy....

Zaczęliśmy mu tłumaczyć: - Zrozum, nie możemy Ci pomóc, wędrujemy już przez pięć tygodni, spłukaliśmy się już z forsy, z trudem nam wystarczy na podróż do Addis Abeby.

- Ależ wy jesteście bogaci.

- Nie , skądże znowu. Przyjechaliśmy tutaj gromadząc oszczędności przez długi czas. My nie jesteśmy z bogatej Ameryki czy Szwajcarii.

- Jesteście bogaci, macie plecaki i aparaty fotograficzne. Ja tego nie mam. Bez wątpienia macie pieniądze.

Dyskutowaliśmy przez długą rodzinę. Wydaje mi się, że myśmy go rozumieli, ale on nas nie rozumiał. Dla niego to było niepojęte: - Tacy bogaci, a pieniędzy nie chcą dać.

* * *

W Etiopii jest chyba najlepsza kawa na świecie. A *makijato*, kawa z mlekiem, jest rewelacyjna. Wędrowaliśmy w okresie Wielkiego Postu i niestety nigdzie nie mogliśmy zamówić *makijato*. Rozmawiając z ludźmi, dowiedzieliśmy się, że w Ortodoksyjnym Kościele Etiopskim, jednym z najbardziej specyficznych odłamów chrześcijaństwa, większość wyznawców skrupulatnie pości przez ponad dwieście dni w roku. W czasie postu Etiopczycy spożywają jeden posiłek dziennie, w którym nie może być mięsa, tłuszczów, jaj i produktów mlecznych.

Codziennie spotykaliśmy się ze specyfiką tego kraju. Na ulicy nie zobaczy się mężczyzny i kobiety trzymających się za rękę, natomiast widok spacerujących mężczyzn z połączonymi dłońmi jest obrazkiem powszechnym.

- Skądże znowu – odpowiadali wszyscy Etiopczycy – to nie są homoseksualiści, wy macie złe skojarzenia. Trzymanie się za rękę to tylko prawdziwy znak przyjaźni i nie ma w tym nic zdrożnego. Zresztą homoseksualizm jest u nas surowo karany.

W hotelach Etiopczycy dbali o morale. Baczenie obserwowali, czy aby w pokoju nie śpią osoby tej samej płci. Jadąc tam, należy o tym pamiętać. Spotkane dwie sympatyczne Nowozelandki bardzo się żaliły na te zwyczaje, zmuszane były do dodatkowych opłat za spanie w dwuosobowym pokoju.

To dbanie o morale było paranoiczne. W małych miejscowościach byliśmy zdani na hoteliki, które były po prostu domami publicznymi. Etiopczycy są za biedni

na uprawianie turystyki, hoteliki są budowane w jednym, wiadomym celu. Mieliśmy w związku z tym mnóstwo niespodziewanych, niegroźnych przygód, ale to już zasługuje na osobne opowiadanie.

* * *

*To tylko pierwsza garstka wrażeń (chyba przydługa) z ostatniej mojej podróży po Etiopii. Wędrowałem tam w towarzystwie **Asi Chrobak-Lipińskiej, Asi Fidos, Małgosi Urbańczyk i Jarka Woźniaka**. Poleciliśmy (26 lutego br.) z Berlina przez Amsterdam i Nairobi liniami KLM i Kenya Airways. Promesę wizy etiopskiej załatwiliśmy faksami w ambasadzie Etiopii w Moskwie. Wizę odebraliśmy w ciągu kilku godzin w Addis Abebie, kosztowała 40 dolarów.*

Nie zwiedzaliśmy Addis Abeby. Pojechaliśmy na południe Etiopii, po drodze zwiedzając Debre Zeyte, Arsi Negele, Jezioro Langano, Awasę, osadę Rastamanów koło Shashamenę, Arba Minch. Wokół Arba Minch spenetrowaliśmy Park Narodowy Nechisar i górską wioskę Chenchu.

Następnie przez Konso, Woito, Arbore dojechaliśmy do Turmi, by dalej przez Dimekę (jeszcze raz Turmi) dotrzeć do Jinki. Po wielu przygodach z Jinki udało się nam przedostać do Parku Narodowego Mago, gdzie byliśmy we wiosce plemienia Mursi.

Asia Fidos, Małgosia i Jarek musieli wracać wcześniej, toteż polecili z Jinki samolotem do Addis Abeby, by dalej zwiedzić Bahar Dar, Jezioro Tana i wodospady Błękitnego Nilu.

Z Asią Chrobak-Lipinską wróciliśmy ciężarówką znów do Dimeki, skąd na piechotę powędrowaliśmy do wioski Argudi, gdzie mieszkaliśmy kilka dni z rodziną Hamerów.. Następnie z zaprzyjaźnionymi kartografami z Addis Abeby

pojechaliśmy z Turmi nad rzekę Omo do osady Omorate, zamieszkałej przez plemię Geleb (blisko Jeziora Rudolfa).

Z Turmi przez Key Afer, Konso wróciliśmy do Arba Minch, by dalej autobusami dotrzeć poprzez Addis Abebę do Bahar Dar nad Jeziorem Tana. Oczywiście zobaczyliśmy urokliwe wodospady Błękitnego Nilu (Tis Asat). Nie mieliśmy już dużo czasu, nad Jeziorem Tana zwiedziliśmy tylko jedną świątynię (Bete Maryam) i pojechaliśmy do Gonder, starej stolicy etiopskiej. Tam rzuciliśmy okiem na zespół zamków królewskich i pojechaliśmy stopem do Lalibeli.

Tuż przed Lalibelą w nocy mieliśmy bardzo niebezpieczną przygodę. Jechaliśmy w kabinie bardzo przeładowanej zbożem ciężarówki. Podczas stromego podjazdu kierowca źle zmienił biegi i samochód zatrzymał się. Pomocnik kierowcy od razu wrzucił kamień pod koła, niestety w wyniku jakiegoś niewłaściwego manewru samochód niespodziewanie zaczął zjeżdżać do tyłu i stoczył się z drogi. Na szczęście nie przewrócił się, zatrzymał się na jedynej skałce w okolicy. Widać mamy coś jeszcze do zrobienia w życiu, skoro Opatrzność pozostawiła nas całych i zdrowych. Gdyby samochód zjechał dwa metry obok, zginęlibyśmy niewątpliwie, wokół po prostu była duża ekspozycja.

Późną nocą dotarliśmy na piechotę do Lalibeli.

Ochłonęliśmy po emocjach, z dużą radością zwiedzaliśmy wielkie świątynie wykute w skale. Robiły wrażenie, mimo że były przykryte blaszanymi dachami i rusztowaniami, w ramach prac konserwacyjnych, finansowanych przez UNESCO.

Z Lalibeli przez Dessi wróciliśmy autobusami do Addis Abeby (4 kwietnia br).

W czasie wyjazdu napstrykaliśmy dużo zdjęć. Najładniejsze niewątpliwie są autorstwa Asi Chrobak-Lipińskiej.

Pragnę bardzo podziękować osobom, które pomogły w przygotowaniach do wyjazdu: rodzeństwu Monice i Markowi Tomaszewskim oraz Ani Olej za kompetentne i życzliwe udzielenie aktualnych informacji o planowanej naszej

trasie podróży i za wszystkie cenne rady; Andrzejowi Trojanowiczowi i Markowi Mazurowi za pomoc w zakupach, konserwacji i naprawie sprzętu fotograficznego; Januszowi Kaszy, Markowi Tomalikowi, Jackowi Torbiczowi, Bogusi i Leszkowi Nadolskim, a szczególnie Henrykowi Juchnikowi za pomoc w szukaniu i w rezerwacji tanich biletów do Etiopii; Czesiowi Lakarewiczowi oraz Dziuni i Adamowi Nowickim za wsparcie ogólne.

Dziękuję towarzyszom podróży za wspólnie przeżyty czas i miły klimat na szlaku.

I dziękuję tym wszystkim, którzy się za nas modlili i trzymali kciuki.

Michał Kochańczyk

